Nr. 2 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | **We Lwowie, 16 stycznia 1931** | **Rok 53**

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarnykozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

Nr. 2 We Lwowie, 16 stycznia 1931 Rok 53



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

†

DR. JÓZEF EKIELSKI

emerytowany Radca Gal. Wydziału Krajowego, były długoletni, dobrze zasłużony członek Wydziału M. T. Ł., zmarł dnia 28 grudnia 1930 r. w Średniej Wsi, mając lat 89.

Jego inicjatywie zawdzięczamy ufundowanie kaplicy Św. Huberta w kościele Św. Elżbiety we Lwowie.

Cześć Jego pamięci, pokój Jego duszy!

Dr KAZIMIERZ WODZICKI
Docent Uniwersytetu Jagiellońskiego

Nowe spostrzeżenia nad biologją rozrodu u niektórych naszych zwierząt łownych

I. Niedźwiedź brunatny *(Ursus arctos L.)*

Od dawna wiadomo, że u niektórych zwierząt ssących ani ruja, ani nawet sama ciąża nie przebiega w sposób, jaki od niepamiętnych czasów obserwujemy u naszych zwierząt domowych. I tak wiemy, że n. p. u nietoperzy akt kopulacji i zaplemnienie następuje jesienią, a plemniki wprowadzone wtenczas do dróg rodnych żeńskich utrzymują swoją żywotność i zdolność do zapłodnienia przez całą zimę, do wiosny następnego roku. Wtedy dopiero samica produkuje jajo, które będzie zapłodnione przez plemniki jesienne. Wypadek ten jest jednak raczej wyjątkowym i naogół niespotykanym wśród innych zwierząt. Znacznie dla nas ciekawszym jest fakt t. zw. przedłużonej ciąży, który spotykamy u naszej sarny. Jak wiadomo, sarna (Capreolus) posiada ruję w miesiącach lipcu i częściowo w sierpniu, a koci się dopiero w maju, czyli, że ciąża trwa u sarny 9 miesięcy. Fakt ten zastanawiał od dawien dawna przyrodników i myśliwych, tak że byli tacy n. p. z naszych przyrodników (Kazimierz Wodzicki 1875), którzy przyjmowali powtórną ruję w listopadzie i grudniu, gdy rzeczywiście wśród sarn, szczególniej w łagodniejsze zimy, można zauważyć pewne poruszenie, a nawet sporadyczne akty stanowienia. Sprawę tę, jak wiadomo wyjaśniły gruntownie sumienne badania całego szeregu badaczy jak Bischoffa i Zieglera, tak że dziś wiemy, iż jedyną właściwą rują sarn jest ruja letnia, podczas której jedynie następuje produkcja plemników u kozłów, a jaj u samic, a przedłużony okres trwania ciąży należy wytłumaczyć okresem spoczynku, w jaki bezpośrednio po zapłodnieniu i odbyciu pierwszych, początkowych faz rozwoju przechodzi jajko sarny. Okres ten trwa $4\frac{1}{2}$ miesiąca tj. w przybliżeniu do połowy grudnia, kiedy to „uśpione" jajko „budzi się" i w ciągu kilku następnych

tygodni z ogromną szybkością się rozwija, tak że po 21—25 dniach od tego okresu już wszystkie narządy są rozwinięte i w dalszym okresie ciąży ulegają jedynie powiększeniu.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad sprawą przedłużonego okresu ciąży u sarn ze względu na podobne zjawiska, które omówimy u szeregu innych zwierząt łownych, a przedewszystkiem u naszego niedźwiedzia, na podstawie nowszych badań i spostrzeżeń. Na wstępie należy zauważyć, że w literaturze naukowej wszelkie wzmianki o biologji naszych rzadszych i większych zwierząt łownych są naogół dziwnie skąpe, a już szczególnie, jeśli idzie o niedźwiedzia, to opierają się o dawne jeszcze zeszłego wieku sięgające obserwacje. Szczególniej nasza polska literatura poza Pietruskim, nie rozporządza niemal żadnemi nowszemi danemi. Jednym też z celów niniejszej notatki jest, oprócz podania obecnego stanu rzeczy, zwrócenie uwagi naszych myśliwych na tę sprawę celem zebrania nowych własnych lub cudzych spostrzeżeń. [1]).

Zastanawiającym jest u niedźwiedzia długi bardzo okres ciąży, którym wyróżnia się pośród innych zwierząt drapieżnych. Nie byłoby to dziwnem, biorąc pod uwagę wielkość niedźwiedzia, największego pośród naszych zwierząt drapieżnych, które w dodatku małą bardzo ilość młodych rodzą, bo zwykle 1—2, a w rzadkich tylko wypadkach większą. Bijącym w oczy jednak faktem jest stosunkowo mało posunięty rozwój nowonarodzonych niedźwiadków, które bezpośrednio po urodzeniu nie wiele są większe od szczurów. Nasuwa się tedy przypuszczenie, że i u niedźwiedzia, jak u sarny, a jak się poniżej przekonamy też i u kilku innych zwierząt drapieżnych, mamy do czynienia z t. zw. przedłużoną ciążą.

Przejdźmy z kolei dotychczasowe spostrzeżenia różnych autorów. Na wstępie z przykrością stwierdzić należy, że do opracowania tego problemu, poza wspomnianym Pietruskim, nie przyczynili się polscy przyrodnicy i myśliwi, mimo że Polska jest jednym z niewielu europejskich krajów, posiadającym w swoich kniejach niedźwiedzia. Jedynemi spostrzeżeniami dokonanemi na Polesiu są obserwacje Krementza (1870). Według niego ruja u dzikich niedźwiedzi odbywa się pomiędzy 15 czerwca a 15 sierpnia, wykot zaś następuje w grudniu i w pierwszej połowie stycznia. Dla szwedzkich niedźwiedzi przyjmuje Lönberg (1928) ruję w maju-czerwcu, młode przychodzić mają na świat w styczniu-lutym, wreszcie w Norwegji według Colletta okres rui ma wypadać na miesiące kwiecień do połowy czerwca. W ogrodach zoologicznych znów ruja wypada na początek maja i trwa do połowy czerwca, wykot w styczniu i lutym. Spostrzeżenia te pokrywają się ze spostrzeżeniami poczynionemi w latach czterdziestych zeszłego stulecia przez znakomitego naszego przyrodnika St. K. Pietruskiego we własnym jego zwierzyńcu w Podhorodcach.

Niedźwiedź polarny, jak wiadomo blisko bardzo spokrewniony z naszym niedźwiedziem brunatnym, ale odbiegający znacznie pod względem biologji (życie wodne, zatracenie zwyczaju snu zimowego), nie wykazuje tak wyraźnych różnic w spostrzeżeniach badaczy, jak to widzimy z powyższego zestawienia, co do czasu trwania ciąży i terminu rui. Według zgodnych obserwacyj poczynionych w różnych ogrodach zoologicznych Szwecji i Niemiec, ruja u tego gatunku wypada w kwietniu, a małe niedźwiedzięta przychodzą na świat w listopadzie - grudniu. Ciąża trwałaby zatem trochę więcej, niż 8 miesięcy (według Heinrotha 241 dni). Jak wspomniałem, u niedźwiedzia polarnego mamy do czynienia z wybitnem przystosowaniem się do specjalnych, bardzo ciężkich warunków klimatycznych, w jakich on się znajduje. Zaznaczyć należy, że warunki te są jednolite ze względu na strefę polarną, w jakiej on żyje. Stąd też wystąpiło to przystosowanie, jako coś trwałego i niezmieniającego się nawet u niedźwiedzic żyjących w ciepłych warunkach menażeryj i zwierzyńców. W okolicach podbiegunowych rodzi niedźwiedzica w śnieżnej gawrze, zabezpieczonej od zimna, z której wyprowadza młode dopiero z chwilą nastania dłuższych i cieplejszych dni.

Inaczej zupełnie przedstawia się sprawa z niedźwiedziem brunatnym. Zamieszkuje on przecież cały szereg okolic różniących się wybitnie pod względem klimatycznym. Stąd też widzimy znaczne rożnice w długości snu zimowego, przedłużającego się znacznie np. w krajach skandynawskich, gdzie też w porównaniu do okolic środkowej i południowej Europy, później znacznie przychodzą na świat młode i kończy się okres gawrowania. Klimatycznemi różnicami można wytłumaczyć wyżej już wymienione okresy kocenia się w różnych krajach, a więc skandynawskich niedźwiedzi w styczniu - lutym, a poleskich w grudniu — styczniu.

Nieporównanie trudniej wytłumaczyć i pogodzić najrozmaitsze spostrzeżenia dotyczące czasu rui u naszych niedźwiedzi. Według spostrzeżeń poczynionych w ogrodach zoologicznych, wypada ona na miesiące kwiecień-maj, a młode widzą po raz pierwszy światło dzienne, jak wspomnieliśmy w styczniu, ciąża zatem trwałaby 7—8 miesięcy (245 dni). W wyraźnej sprzeczności stoją jedyne dotąd obserwacje poczynione w kniei na polskich niedźwiedziach przez wspomnianego leśniczego, Niemca, Krementza, według którego ruja wypadałaby na miesiące: koniec czerwca — połowa sierpnia; u naszych niedźwiedzi zatem mielibyśmy do czynienia z ciążą znacznie krótszą, bo zaledwie 4—5 miesięczną. Trudno tę tak wielką różnicę wyjaśnić różnicami rasowemi naszych niedźwiedzi. Musimy poszukać innego wytłumaczenia, które pozwoliłoby na pogodzenie tych dwóch sprzecznych ze sobą spostrzeżeń. Wyjaśnienie takie podał ostatnio jeden z wybitniejszych współczesnych zoo-

---

1) Będę głęboko zobowiązany tym wszystkim, którzy w sprawie poruszonej w niniejszym artykule będą mogli podzielić się ze mną swojemi własnemi spostrzeżeniami i skierują je pod moim adresem do Zakładu Anatomji Porównawczej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

logów prof. Prell. Otóż przyjmuje on u niedźwiedzi podobnie, jak u kilku innych zwierząt ssących, dwie ruje, z których najważniejszą i jedynie prowadzącą do zapłodnienia samicy byłaby pierwsza — wiosenna, t. j. ta, jaką obserwował w swoim zwierzyńcu Pietruski i inni uczeni w menażerjach, występująca w końcu kwietnia, w maju do początku czerwca. Druga ruja obserwowana przez Krementza w lipcu - sierpniu byłaby rują dodatkową, odpowiadającą mniej więcej temu, co widzimy czasem u sarn w końcu listopada i w początkach grudnia, która też żadnej roli dla utrzymania gatunku nie odgrywa. W związku z tem mielibyśmy do czynienia z ciążą długą, bo trwającą 7—8 miesięcy. — Prawdopodobnie u niedźwiedzia spotkalibyśmy też to samo zahamowanie rozwoju płodu, który istnieje u sarn. Fakt ten tłumaczyłby ponowne zbliżanie się niedźwiedzi obu płci do siebie a więc drugą letnią ruję, czego jak wiadomo zasadniczo u żadnych zwierząt po pokryciu samicy nigdy nie spotykano. Potwierdzają to zresztą najnowsze spostrzeżenia nad rozmnażaniem się niedźwiedzi polarnych, nad czem dla braku miejsca rozwodzić się już nie możemy.

Hipoteza ta jest nadzwyczaj śmiałą. Definitywne rozstrzygnięcie mogą przynieść tylko nowsze badania. Te w pierwszym rzędzie oprzeć się będą musiały na spostrzeżeniach naszych myśliwych - przyrodników, mogących jedynie podpatrzeć te, jak dotąd, tak ciemne i ukryte tajemnice przyrody. Potwierdzeniem i uzupełnieniem będzie materjał sekcyjny dostarczany naszym zakładom przyrodniczym, dla ostatecznego wyjaśnienia tego tak ciekawego i zagadkowego procesu biologicznego. Próbę wyjaśnienia przyczyny tych zjawisk, podam w następnym artykule.



ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Wschodnio-środkowa Afryka)

IV

Antylopy krowie i zebry (Ngondo na Mbidzi)

Rodzina antylop — co za ogromny świat zwierzęcy sam dla siebie, co za bogaty rezerwoar zwierzyny łownej dla myśliwego..

Patrząc na mapę globu naszego, z uwidocznionemi na nim granicami rozmieszczenia geograficznego przeżuwaczy pustorożnych — spostrzegamy, że antylopy zamknięte są — z małemi odchyleniami — w obrębie strefy



„Impalla" — „Suala" — Aepyceros melampus, kozioł

gorącej, starego świata. Najgęściejsze — żeby tak rzec — zaludnienie, przypada na Afrykę. Zwłaszcza pas międzyzwrotnikowy może się wykazać nietylko największą ich ilością, ale także różnorodnością form, wprost zdumiewającą. Obok ogromnego łosia afrykańskiego — karzełek dik-dik, obok antylopy końskiej o potężnem, a niebezpiecznem porożu — filigranowa bezbronna „Orobi", obok zachwycającej formami ciała „Impalli" — ciężki, z końskim łbem „Gnu".

Porównań takich możnaby robić w dziesiątki. Wybór tak wielki, że wprowadza często białego myśliwego w kłopotliwe położenie, kiedy mu przyjdzie poraz pierwszy zapolować na tę zwierzynę, bo nie wie, której antylopie ma dać pierwszeństwo, której poświęcić więcej czasu i wysiłków. A emocja łowów bardzo nęcąca, chociażby na najmniejszą z nich, gdy się zważy, że terenem

tych łowów — to daleki, nieznany kraj egzotyczny i że takiego polowania nie można mieć na zawołanie.

— — — — — — — — — — — — — —

Antylopy są przeważnie mieszkańcami otwartych, słonecznych a bezludnych obszarów, gdzie niekrępowane w swych ruchach mogą nawet we większych skupieniach — swobodnie z miejsca na miejsce się przenosić. Stepy, sawanny, rzadkie lasy niskopienne, a nawet prawie pustynne równiny — to ich najzwyklejsze ostoje.

Wyniesienie nad poziom morza nie gra tu większej roli, o ile nie przekracza zbytnio wysokości 1500 m n. p. m. Te same gatunki znachodzimy często i na niżu przymorskim, jak również na wyniosłym wyżu pasa międzyzwrotnikowego.

Dużo słońca i dużo wolnej przestrzeni decyduje w Afryce o tak zwanej przez Anglików „Game-country" — czyli o dobrem łowisku — gdzie antylopy najpoczęśniejsze zajmują miejsce. Zresztą już sama budowa tych szybkonogich stworzeń wskazuje na to, że ani gęsty las dziewiczy, ani zwarta dżungla, ani też zbyt ściśnięte zbocza górskie — nie mogą sprzyjać ich ruchliwemu bytowaniu.

Pęd tych zwierząt ku otwartym równinom — szczególnie w porze suchej, (w jedynie możliwej dla białego porze polowania) jest z tego względu zrozumiałym, że w tym czasie łatwiej im tam znaleźć dogodne wodopoje i pastwiska, jak również większe bezpieczeństwo przed niespodzianemi atakami drapieżców, w które tak obfituje Afryka. Przeważnie bezbronne, znajdują w swych elastycznych i silnych nogach większą gwarancję bezpieczeństwa, aniżeli w potężnych nieraz rogach, jakiemi niektóre gatunki są uzbrojone.

O ile jednak antylopy są naogół w swych ruchach zwinne i szybkie, o tyle nie są wytrwałe. Niektóre większe gatunki, są wprost niezdatne do wysiłku na dłuższą metę.

W Afryce południowej — w czasach, gdy jeszcze nie było broni odtylcowej i polowano najczęściej z jednorurką kabzlową wielkiego kalibru — forsowano na stepach większe antylopy konno. Myśliwy-jeździec nie tylko doganiał zwierzynę w krótkim czasie, ale dostawał ją nieraz tak wyczerpaną, że kroku dalej uczynić nie mogła; więc po zeskoczeniu z konia mógł ją strzelić z całkiem bliska. Nierzadkie były wypadki — słyszałem z ust wiarygodnych — że np. łosia afrykańskiego, potrafił wytrenowany biegacz-kafer umęczyć w ten sam sposób w pół godziny, — aby go potem zakłuć dzidą. Swoją drogą jest to może jedyna z antylop, która w porze suchej nabiera tłuszczu i staje się ociężałą.

Są jednak i takie, których i na dobrym koniu myśliwskim sforsować nie łatwo, niemniej takie, które w ogóle sforsować się nie dadzą.

Do tego ostatniego rodzaju zaliczyć należy w pierwszym rzędzie t. zw. antylopę krowią, zwaną powszechnie z burska Hartebeest. Potwierdzenie tego znajdujemy w dziełach podróżniczo-łowieckich p. Selous, sławnego myśliwego południowej Afryki, który opowiada, że w czasie długoletnich swoich polowań — nie tylko sam nigdy konno nie sforsował tej antylopy, ale nawet nie słyszał o wypadku, aby taka sztuka komu innemu się udała.

I dziwnem wyda się każdemu, kto po raz pierwszy to zwierzę zobaczył, że właśnie ono jest takiem chyżem i wytrwałem w biegu, nie odznacza się bowiem wcale gibkością kształtów — owszem jest ciężkie i pozornie niezgrabne. Może nawet z tego względu dano jej miano antylopy krowiej, jakkolwiek inne jej cechy przemawiałyby przeciw temu. Jeśli dawni myśliwi — Burowie, widzieli w niej jelenia, Niemcy bydlę, zaś inni coś pośredniego między jeleniem a kozą — to widać, że wyszukanie dla tej antylopy odpowiedniej nazwy, nie było łatwem.

W tem współzawodnictwie pogubili się nie tylko myśliwi, ale także uczeni — dając jej nazwę łacińską Bubalis, a równocześnie przyłączając ją do grupy Cervicaprinae, do której należą i filigranowe gazele i wspaniałej budowy Kozioł-wodny i prześlicznych kształtów Impalla.

Wykazuje to dosadnie absurdalność tej koncepcji. — Antylopa krowia — to typ obok Gnu (który mieści się również w grupie Cervicaprinae) — zupełnie odrębny. Kozią cechę jej może być chyba to, że samica ma w wymieniu tylko dwie sutki, podczas gdy większość antylop ma ich cztery — nie wyłączając wyżej wymienionej Gnu.

Wogóle klasyfikacja pustorożców wedle budowy poroża — jest chybiona.

— — — — — — — — — — — — — —

Antylopy krowie spotykamy na całym kontynencie Afryki, — z wyjątkiem oczywiście pustyń i gór — w licznych odmianach, z których po dzień dzisiejszy znanych i opisanych — jest dziewięć.

Odmiany te, związane właściwościami danego obszaru, trzymają się ściśle przyrodzonych jego granic i jak myśliwi stwierdzają, nie spotyka się nigdzie dwóch, względnie więcej odmian obok siebie.

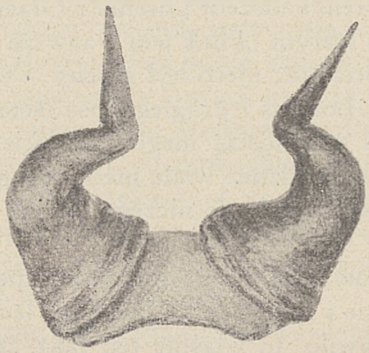
W środkowo-wschodnim pasie Afryki, a mianowicie nad dolną Zambezą, nad Szirą oraz na wyżynie w kraju Augonich (u połud. zach. brzegów jeziora Njassa) — gdzie przez przeciąg wielu lat polowałem — rzeczywiście stwierdziłem obecność tylko jednej odmiany antylopy krowiej t. zw. Bubalis Lichtensteini, jakkolwiek zdawałoby się, że na tak ogromnym obszarze i o różnolitym charakterze topograficznym powinneby się znaleźć i inne odmiany.

Jeżeli antylopy krowie są na ogół potężnemi zwierzętami, to Bubalis Lichtensteini — zwana przez krajowców z wybrzeża Ngondonga, zaś w głębi kraju Ngondo, jest najokazalszą. Staturą swą, dorównuje ona naszemu jeleniowi górskiemu, a stare byki nawet go przewyższają. Szata jej o sierści krótkiej i lśniącej — jest barwy kasztanowatej, jaśniejsza ku podbrzuszu, zaś pod samym brzuchem prawie biała. Gradacja cieniów występ-

puje najwyraźniej u osobników młodszych, zwłaszcza u łań — względnie krów.

Sylwetka tego zwierzęcia, widziana z profilu, przedstawia nam krótki i zwięzły tułów na stosunkowo wysokich badylach, opadnięty nieco zad i wysoką rozbudowę przodu, gdzie na szerokiej lecz krótkiej szyi — spoczywa wielki, wydłużony łeb.

Rogi, w które uzbrojone są obie płci — nie wpadają prawie w oczy, są bowiem nietylko niepokaźne, ale tak dziwacznie (pod kątem prostym) w tył wygięte, że nieraz przy nastroszeniu długich uszu, są niemi zakryte.



Rogi „Ngondo” — byka (Bubalis Lichtensteini)

Te nikłe rogi przy ogromnym stosunkowo łbie i wybałuszonych, olbrzymich oczach, dają jej wyraz bardzo głupowatego bydlęcia. Obok Gnu — jest jedną z najbrzydszych antylop.

Ngondo — jak większość antylop — lubi teren suchy a nawet kamienisty, gdzie trawy są rzadsze i słabsze zalesienie. — łagodnie faliste okolice podgórskie, oczywiście także i step otwarty. Ten ostatni odwiedzają przeważnie w porze suchej (zimowej), gdy gęste i wysokie trawiska poschły, a pożary wzniecane przez człowieka otworzyły im wolne pole do dalekich wycieczek.

Zwierząt tych nie spotykałem nigdy we większych stadach, niż kilkanaście sztuk razem. Stado takie, to banda włóczęgów. Bez oczywistych — jakby się zdawało — powodów, przenoszą się ciągle z miejsca na miejsce. To samo stado widziane dziś tu, znajdzie się jutro o kilkanaście kilometrów dalej, aby znowu po kilku dniach, lub po tygodniu w tem samem miejscu się pokazać. Często zjawiają się w okolicach, gdzie zupełnie wody nie ma, coby oznaczało, że długi czas bez niej obejść się mogą.

(C. d. n.)



PROF. Dr ADAM SOŁOWIJ

Jeszcze w sprawie ochrony jelenia w Karpatach

Jakkolwiek czas najwyższy, by skończyć z dyskusją w sprawie ochrony jelenia w Karpatach, zabieram jeszcze raz głos, bo zmusza mnie do tego artykuł p. Dra Burzyńskiego, umieszczony w „Łowcu“ Nr. 1 1931, str. 6.

Pan Dr. Burzyński twierdzi, że „zgadza się ze mną w głównym punkcie“. — Tymczasem każdy uważny czytelnik o normalnej mentalności musi po przeczytaniu mojego artykułu w „Łowcu“ Nr. 22 1930, przyjść do przekonania, że zgoda między mną a p. Dr. Burzyńskim jest wprost wykluczona, skoro on zwalcza odstrzał jelenia podczas rykowiska, a ja **„oświadczam się z największą stanowczością za zatrzymaniem odstrzału jeleni w Karpatach na rykowisku“**!

Że odstrzał jeleni powinien być unormowany odpowiednią umową i rewiry powinny być wydzierżawiane tylko godnym myśliwym-hodowcom, na co wszyscy bez różnicy zgadzamy się, to w niczem nie zmienia zasadniczej różnicy zapatrywania między mną a p. Dr. Burzyńskim co do odstrzału jeleni podczas rykowiska w Karpatach.

Natomiast między p. K. Wysockim a mną już nie ma tej zasadniczej różnicy zapatrywania, bo, jak widzę z jego artykułu, umieszczonego w „Łowcu“ Nr. 1 1931, str. 7, jest już gotów zgodzić się na odstrzał jeleni w Karpatach w czasie rykowiska, gdyż, jak się wyraża: „Dobry gospodarz łowiecki nie potrzebuje ani zakazów odstrzału łań, sarn czy młodzieży, bo cokolwiek on przeznaczy do odstrzału, to będzie niezawodnie tylko z korzyścią dla racjonalnej hodowli. Kiedy ten odstrzał nastąpi, to zależeć będzie od decyzji dobrego gospodarza, który będzie wiedział, co i kiedy odstrzelić. Gdyby na całym terenie naszych Karpat prowadzoną była wzorowa gospodarka łowiecka, to mybyśmy nie mieli obawy o przyszłość jeleni Karpackich, o ich zdegenerowanie i nie mielibyśmy powodu do żądania ukrócenia prawa odstrzału w czasie rykowiska“.

Mogę zapewnić p. K. Wysockiego, że nietylko w Skolem prowadzi się wzorową gospodarkę łowiecką w górach. Wyjątki od tej reguły są bardzo rzadkie i znikną zupełnie, jeśli przy wyborze dzierżawców rewirów górskich zachowa się jeszcze więcej ostrożności.

Dyskusja w sprawie ochrony jelenia w Karpatach wywołała ustęp końcowy w moim artykule w „Łowcu“ Nr. 22 1930, w sprawie ochrony kozic w Tatrach.

Sądziłem, że tak zwani obrońcy jelenia w Karpatach zechcą się także zająć ochroną kozic w Tatrach. Z artykułu ostatniego p. K. Wysockiego dowiaduję się jednak, że się pomyliłem, bo odsyła mnie do „Państwowej Ochrony Przyrody“ i „Wydziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego“.

Kończę prośbą o zamknięcie dyskusji na łamach „Łowca“ w sprawie ochrony jeleni w Karpatach, bo stała się już zbyt długa i przestała być interesująca, stanąwszy na martwym punkcie.

FRANTZ MUNCH ROSENBERG

Łowy na grubego zwierza

(Tłum. z ang. A. M.)

(Ciąg dalszy)

Las w Storaasen. Siła śmiercionośnych strzałów z nowoczesnych małych kalibrów. Trzy zabite łosie.

Gdy podążać będziesz brzegiem rzeki Storaas, wiele a wiele mil na wschód z osiedla Almo, dotrzesz w końcu do wielkiego rządowego lasu, znanego dobrze pod nazwą Storaasen, który się ciągnie pomiędzy jeziorem Andor a rzeką Storaas. Las ten jest nadzwyczaj obszerny: sięga on bowiem ze wschodu do samego szczytu Lurusneisa i do szwedzkiej granicy, a na zachodzie dochodzi do góry Andor.

Większą jednakże przestrzeń tego olbrzymiego terenu zajmują nagie płaskowzgórza, gdzie rzadko spotkać można łosia, chyba — gdy tenże powraca z wędrówki po sąsiednich lasach.

Razu jednego wynajmowałem od rządu ten las z mocnem postanowieniem upolowania w nim choć 4-ch łosi. Spędziłem, jak zwykle 2 tygodnie na łowach na renifery w południowych górach, tak, że przybyłem wtedy do Snaasa w spóźnionej już nieco porze polowań na łosie.

W Sem spotkałem Ole Agle, który mię zaraz zawiódł do fermy Almo. Opowiadał mi on w drodze, że widziano tu teraz na górze Seisjo olbrzymiego łosia o łopatach z 21 pasemkami. Jeśli jest w świecie moc i siła, któreby zdolne były przyśpieszyć krążenie krwi w żyłach myśliwego — to z pewnością taka tylko wiadomość.

Lorents znajdował się w Graesaamoen z jednym z mych przyjaciół i miał się później dopiero ze mną spotkać, a że w tym roku żona mi moja towarzyszyła, więc do pomocy w naszych wyprawach sprowadziłem starego Andreasa Almo.

Z osiedla Almo wązka biegnie ścieżyna na wschód poprzez wielkie moczary, po całogodzinnym więc prawie marszu, nadzwyczaj uciążliwym, zbliżyliśmy się znów do rzeki, która rozlewa się tu kilku głębokiemi i długiemi korytami, łatwemi łódką do przebycia.

Przy takiej tu odnodze rzeki, wznosi się mała leśniczówka, zwana „Stroket“ (wytyczny punkt), służąca nieraz polującym tu myśliwym za miłe schronienie i odpoczynek; w temże miejscu wsiedliśmy do łódki, aby przeprawić się przez rzekę. W chwili, gdyśmy wypływali z zakrętu, duża łosza ze swem małem wybiegła z za wierzb rosnących tam na brzegu i brodząc i klapiąc głośno po mieliźnie, umknęła w las. Widząc to mój młody pies „Bjann“, tak się tem silnie przejął, że o mały włos łódki nam nie wywrócił!

Rzeka Storaas wypływa z jeziora Seisjoen i podąża przez wiele mil pomiędzy górami niezbyt stromemi, pokrytemi więcej brzozami, a w dole świerkami dochodzącemi do samej wody, a podobnie jak wzdłuż rzeki Luru, znajdują się tu wielkie przestrzenie bagnistego gruntu, poprzecinanego gdzieniegdzie kępami drzew.

W miarę, jakeśmy się zbliżali do jeziora, rzeka stawała się coraz płytszą i pełną zatorów, tak, żeśmy zmuszeni byli wylądować i pieszo iść całą godzinę, nim ujrzeliśmy nareszcie jezioro pomiędzy drzewami. Przy polance w lesie znajdowała się przystań; siedliśmy więc znowu do łódki, którąśmy z radością zaraz spostrzegli i przeprawiliśmy się na drugą stronę jeziora do leśniczówki. Domek ten otoczony cały świerkami posiadał śliczny widok na jezioro i góry; składał się on z dwóch małych izb, kuchni, stajenki i składu, coś w rodzaju śpiżarni.

Nad wieczorem nadszedł Lorents z Graesaamoen wraz z psem swym starym „Flink‘iem“, zawsze pełnym życia i humoru, chociaż już nieco był głuchy, a także przyprowadził z sobą Lorents i drugiego psa, setera irlandzkiego, który był własnością mego przyjaciela; piękne to było zwierzę, nagrodzone wielu medalami na wystawach, — lecz w praktyce było do niczego, — jak się to później okazało!

Lorents opowiadał mi, że kilka dni spędził także na łowach na łosie i zabił wielką jałówkę; lecz, co mię najwięcej zaciekawiło, to właśnie ten fakt, że użył do kalibru 256 swego sztucera, Krag, nowych naboi, których mu specjalnie dostarczyłem.

Dyskutowaliśmy kiedyś gorąco na temat „Calibre Regulation“ (regulamin kalibrowy), zabraniającego używania małego kalibru w łowach na łosie, a ponieważ zawsze przeciwny byłem tej ustawie, a raczej idjotycznej formie, w jakiej objęte było to rozporządzenie, prosiłem Lorentsa, aby rozdał te właśnie naboje najlepszym myśliwym w Snaasa, celem udowodnienia faktami, mylnego twierdzenia, że tegoczesne małe kalibry nie posiadają dostatecznej mocy do zabicia grubego zwierza, jak np. łosia lub jelenia. Wynik tej próby był aż nadto zadawalający.

15 września był to pierwszy dzień mych łowów. Po zimnej nocy ziemia okryła się nad ranem gęstym szronem, wiatr dął z zachodu, a gdy się słońce chowało za chmury, śnieg począł przelatywać.

Prowadząc wciąż psy na smyczy, Lorents i ja skierowaliśmy się na północ i właśnie przed samą leśniczówką zwietrzyły one łosia. Z tropów poznaliśmy wyraźnie, że poprzedniej nocy łoś się tu wszędzie przechadzał. Nie spotkawszy się z nim jednak, ruszyliśmy dalej.

W dole, przy samem jeziorze, las stawał się coraz więcej zwartym, pełnym małych pagórków, gdzie tak bardzo łosie lubią przebywać, a do których dostęp jest bardzo trudny.

Umyśliłem więc wypłoszyć je z tych miejsc, — gdyż nie dalibyśmy sobie z niemi rady, a tylko zwietrzyłyby naszą obecność i pochowałyby się gdzieś w gęstwinie tych pagórków, — wytknąłem więc na wschód, co się bardzo staremu Flinkowi nie podobało, bo zrozumiał, że nie chcemy iść za tropami, które on tu wszędzie wynajdywał.

Gdyśmy opuścili te gąszcza pagórkowate i przez długi czas nie natrafiliśmy z psami na żadne tropy, niespodzia-

nie naprzeciw mnie, z za kępy krzewów, wyjrzał ogromny łeb z szerokiemi masywnemi łopatami!

Instynktownie szarpnąłem w dół dźwignię repetierową mego sztucera i w chwili, gdy łoś ujrzawszy mnie, skręcił się raptownie z zamiarem ucieczki, — strzeliłem! Niestety, krótki metaliczny oddźwięk był jedynym tego rezultatem, — a zanim zdołałem powtórzyć wystrzał, łoś zniknął między drzewami.

Ponieważ nigdzie nie mogłem odnaleść kuli, nie wiedziałem, co było przyczyną, że nabój nie został wyrzucony, czy też ja nie dostatecznie pociągnąłem w dół dźwignię, aby wpuścić nowy nabój do komory; w każdym razie, jakaby nie była przyczyna tego niepowodzenia mego, zaprzysiągłem sobie stanowczo nigdy więcej nie używać repetiera w łowach na łosie.

Smutni i zafrasowani wędrowaliśmy dalej, trafiając często na tropy łosi, co dowodziło, że się tu one wszędzie kręcą, to nad rzeką, to w górach Storaasen. Wkrótce śnieg sypać zaczął grubemi płatami; zeszliśmy więc na dół do rzeki, gdzieśmy rozniecili ognisko, zagotowali herbatę i sporządzili śniadanie.

Po krótkim odpoczynku i pożywieniu się, wyruszyliśmy okrężną, długą drogą na zadrzewiony szczyt Storaasen, od którego to las nosi swą nazwę, a potem z powrotem poprzez duże, obszerne leśne płaszczyzny, na południe od rzeki Andor, wciąż szliśmy, nie spotkawszy ani razu świeżych tropów. Prawdopodobnie często tu ludzie w jesieni zachodzą dla wycinania drzew, gdyż przeważnie jest to las budulcowy.

Nad wieczorem zwróciliśmy się na drogę wiodącą już do domu i przechodząc duże, otwarte błotnisko, usłyszałem raptem przygłuszony krzyk Lorentsa, co mię niespodziewanie zbudziło z zadumy. Odwróciłem się więc raptownie i ujrzałem w oddali, o jakie 200 yardów, na brzegu błotniska, dużego byka, przechadzającego się spokojnie. Łoś widocznie nas nie zauważył i stanął po chwili, jak na komendę, pod świerkiem samotnym; strzeliłem więc co tchu. Po pierwszym strzale łoś stał dalej bez ruchu, — lecz za drugim, zatoczył się i chciał uciekać, ale cały szereg prędko po sobie następujących wystrzałów zwalił go wkońcu na ziemię! — Pokazało się, że to zwierzę nie było wielkich rozmiarów, barwy popielato-szarej, z symetrycznemi ciężkiemi łopatami o dwunastu gęsto osadzonych i długich pasemkach, — jednem słowem ładny jednak okaz i tonący wprost w tłuszczu!

Niewątpliwie był to ten sam łoś, któregośmy rano wystraszyli, a który zapewne powracał teraz wieczorem do siebie w poszukiwaniu łoszy.

(C. d. n.)



JAROSŁAW HUBÁLEK

BUREK

Autoryzowany przekład z czeskiego WŁ. KARNKOWSKIEGO

(Ciąg dalszy)

Z daszku zeskoczył Maciuś, dobry znajomy dawnego wilczka. Ciekawy, jak każdy kot, chciał zajrzeć do budy. Niebaczny, czy może nie przeczuwał, że zastanie tam nie chowanego wilczka, lecz wilka w pełni rozbudzonej dzikości. I oto jedna chwila, brzęk łańcucha, jeden skok i kości Maćka chrupnęły w mocnych szczękach syna puszczy. Na podwórku powstał zamęt nie do opisania. Kury rozbiegły się z głośnem gdakaniem, indyki znalazły się na dachu, ludzie biegali, nawołując się, złorzecząc mordercy. Wnet otoczono budę, wyciągnięto delikwenta i nastał sądny dzień, doraźna egzekucja. Nasz bohater bronił się dzielnie, ale... nec Hercules... oślepiony, nie strachem, lecz wściekłością i pogardą dla tych ludzi, takich odważnych wobec skutego wilka, rzucił się naprzód potężnym skokiem. Łańcuch wytrzymał, lecz puścił skobel. Parę mocnych uderzeń kłami, pisk wylękłych dziewcząt, soczyste przekleństwa Rusinów i nasz wilk był wolny! Kilka sążnistych skoków i już jest na łączce, mija ją i wierna kolebka jego rodu, zbawczy las, wchłania go w swe mroki. Niepokoił go tylko ów metrowy łańcuszek, dzwoniący niedyskretnie na najmniejszym kamieniu, wobec czego o podejściu zdobyczy niema mowy. Na szczęście po paru dniach, czy karabinek u obroży przerdzewiał, czy też zawadziwszy nim o jaki wystający sęk, przerwał go wilczek rozpaczliwie silnem szarpnięciem — dość, że poczuł się absolutnie wolnym bez budy i bez łańcuszka, jedynie z twardą obrożą na karku, która mu bynajmniej nie przeszkadzała, owszem — mnogie w przyszłości wyświadczyła przysługi, jak się okaże w dalszem opowiadaniu.

V.

Już opadają liście z drzew, buki czerwienieją, biała oblubienica brzoza gubi swój ślubny welon, leszczyna i osika tracą powoli zieloną jeszcze szatę. Pierwsze przymrozki jesienne dają hasło wszelkiej roślinności na sen zimowy. Nasz wilk zmienił też letnią garderobę. Brunatno-rdzawa letnia sierść wisiała strzępami na gęstych krzakach, któremi się przedzierał w nocnych wędrówkach, jej miejsce zajął piękny, bury kożuch z ciemną pręgą przez grzbiet. Podobno w zimie wszystkie wilki są bure? Owszem — ale każdy inaczej. Jeden więcej, drugi mniej, jeden ma pręgę na grzbiecie wąską, drugi szeroką, innemu spływa ona prawie zupełnie z ogólnem umaszczeniem, inny wreszcie ma tylko na karku wyraźną plamę jak siodło. Nasz bohater miał pręgę wąską, boki zaś czysto bure, całością barwy sprawiał wrażenie starego wilka-samotnika. Wśród leśnych tworów, które dokładnie się rozpoznawać umieją, nosił miano Burka, to też i my znać go będziemy nadal pod tem imieniem.

Wilki kończą swój rozwój fizyczny dopiero w drugim

roku. Burek tak fizycznie, jak umysłowo, był znacznie w tyle poza współplemieńcami. Wychowany w degenerujących warunkach ludzkiej kultury, pozbawiony szkoły życia, jaką daje matka, nie miał tej kultury leśnej, bez której źle jest wilkowi w wolnej przyrodzie. To też całem pożywieniem jego bywały z początku myszy i krety, na nic lepszego nie mógł sobie biedak pozwolić. Świętem było prawdziwem, gdy czasami udało mu się zdybać w pobliżu wsi, po niskich gąszczach włóczącego się kota. Z chwilą, gdy uwolnił się od nieznośnego łańcuszka, łowy stały się pomyślniejsze, po wszystkich zboczach bowiem i górskich łąkach wypasano jeszcze całe stada dobytku. Krowy i jałowizna nie budziły jakoś w Burku apetytu, prawdopodobnie dlatego, że znał je dobrze z leśniczówki. Zato na widok kozy, lub owcy oczy mu wychodziły na wierzch, a ślina kapała z mordy. Dzieci nie obawiał się wcale, pastuszkowie mogli krzyczeć i straszyć go — nie uciekał. Natomiast do najwyższego stopnia roznamiętniał go widok psów i to nietylko dlatego, że miały bardzo smaczne mięso; nienawidził ich poprostu żywiołowo — wiążąc z ich pojęciem same smutne wspomnienia swego życia. Wszak Wjas podusił jego siostry, wszak z niego samego o mało raz duszy nie wytrząsł, a te pastusze kundle, za pierwszem jego zbliżeniem się do stad, taki gwałt podnoszą, jakby to były ich własne stada. żeby ich się miał bać — to nie! Głuptasy, rzucają się na kark, gryzą po nogach i skubią za kudły, a to przecież nie takie straszne. On zaś, choć go nikt tego nie uczył, dobierał się zawsze do gardła.

Psy stanowiły też najłatwiejszą jego zdobycz. I nie mogło być inaczej. Zdegenerowane hodowlą, niezmuszone do zdobywania pożywienia samodzielnie, skarlałe na duszy i na ciele, głupie do granic idjotyzmu. Czyż rozumne zwierzę może, jak pies, najspokojniej wygrzebywać myszy, nie zbadawszy choć raz jeden wiatru? Lub czy będzie bez potrzeby, dla samej zabawy, po całych dniach szczekać? Ta psia głupota niezmiernie była Burkowi „na rękę“. A miał w czem wybierać! Ile kóz, tylu pastuszków, a niemal każdy wodził za sobą jakiegoś Łyska albo Kruczka. To też w ciągu jesieni rozprawił się Burek coś z trzydziestoma psami, aż wreszcie nauczyły się ostrożności; nie oddalały się zbytnio od trzód, a za najmniejszym szelestem zmykały do gromadki pastuszków z głośnem szczekaniem.

VI.

Pewnego wieczora spadł pierwszy śnieg. Drobniutkie, przeróżnych kształtów krzyształki, ubieliły przemarzłe trawy, kładły się cicho na pożółkłych liściach dębów, aż pokryły wszystko wkoło dziewiczo białym puchem. Burkowi nie w smak była ta zmiana. Głodny był, a w dodatku ten biały puszek topniał mu na kudłach i bardzo nieprzyjemnie chłodził skórę. Otrząsał się niekiedy, ale to nie na długo wystarczało. Obejrzał się za siebie — i zmartwiał ze zdziwienia, a po części i strachu; oto ślad jego znaczny tylko dla powonienia, obecnie znaczny jest i dla wzroku. Jakby wstydząc się tych śladów, cofnął się w gąszcze, odszukał znaną mu kłodę starego, powalonego buka, zwinął się pod nią w kłębek i tak przeleżał kilka godzin. Nie mógł jednak usnąć. Około północy wstał zły i czegoś strasznie nie swój. Otrzepał kożuch, skrobnął zadniemi nogami raz i drugi psią modą i podniósł łeb do niewidzialnego za chmurami księżyca. I nagle ciszę zimowej nocy przerwało ponure wycie, zakończone tonem podobnym do ziewnięcia psa, lecz o wiele głębszym i niosło się puszczą złowrogo. Więc spóźniony przechodzień na gościńcu żegnał się pobożnie, a ściskając mocniej „palicę“, przyspieszał kroku. Półangielskie rumaki idące w powozie dyrektora pobliskiej fabryki, wzdrygnęły się, strzygąc uszyma, zaś młoda pani dyrektorowa, owinięta w ciepłą lisiurę, może po raz pierwszy mocno przytuliła się do podstarzałego małżonka. I zwierza leśnego zmroziło to echo. Małe sarniątko cisnęło się trwożnie do matki, ta zaś przygarnęła się do rogacza, szukając u niego opieki. Myszkująca przed przegniłym pniem liszka podniosła mądrą główkę i skamieniała w podejrzliwem zasłuchaniu. Smukłej łani uderzyło żywiej serce, łyżki zwróciły się ku przodowi, czarne aksamitne nozdrza drgały niespokojnie, a nerwy napięły się niby struny. Zaś o trzysta kroków od Burka stanął słupka zając, pięcioletni stary kawaler, ostrzelany i kuty na cztery nogi. Przed łasiczką byłby niezawodnie uciekł — ale wycie wilka? Owa! W gąszczu wilk nie straszny. Co innego, gdy goni na oko, ale węchem w kniei? — niech spróbuje! Toteż z fantazją poruszył wąsami i ze spokojem filozofa ogryzał dalej zielone dotąd źdźbła trawy.

VII.

Zmieniło się wszystko z pierwszym śniegiem. I wygląd lasu i życie samego Burka. Biały całun zaścielał okolicę, pierwszego dnia ponowy zwierzyna nie wychodziła z pod osłony gąszczu i ziemnych kryjówek. Dopiero na trzeci dzień mnożyć się poczęły jej tropy. Dla Burka oczywiście miało to znaczenie podrzędne; słuch i węch wystarczał mu w zupełności. Przeciwnie, śnieg zdradzał jego własne ślady i mógł być dlań wysoce niebezpieczny.

W miejscu, gdzie się stykały dwie doliny, było zbocze, gęsto porosłe olszyną, leszczyną i głogiem, z którego roztaczał się rozległy widok na trzy strony. W lewo i wprost na dolinę turjańską, w prawo wdłuż potoku na dalekie łąki mohrańskie. Ciepły ten i słoneczny zakątek stał się ulubionem obserwatorjum Burka. Nie uszedł stąd jego oka żaden przechodzień na leśnych ścieżkach, żaden wóz na szosie, żaden zbłąkany pies, zwabiony licznemi kretowiskami.

(C. d. n.)



ARTUR GROETSCHEL

Tajemnicze zjawisko

Kiedy po całodziennem wyznaczaniu zrębu częściowego w starodrzewie jodłowym — rozstałem się z leśniczym D. na linji gospodarczej — ciemne chmury śniegowe zwartą masą zawisły nad rozległemi lasami Podkarpacia. Do domu miałem jeszcze około 9 km. Przechodzić musiałem aż w pobliże wioski — bardzo zwartemi lasami — możliwość zatem spotkania się ze zwierzem bardzo wydatna.

Obok mnie biegł dziewięciomiesięczny piesek — po ojcu gończym, po matce jamniczce — coś w rodzaju „Dachsbracke" — o fenomenalnym nosie, dużej odwadze i zaciętości, czego dowodem, że w tym wieku atakował już dobrze odyńca.

Piesek ten miał zwyczaj atakować dzika — z wielką furją — a kiedy dzik nań uderzał — zmykał kilkadziesiąt kroków ze zjeżoną sierścią na całym grzbiecie z ogonem silnie pod siebie podciągniętym, by natychmiast po pierwszym zwrocie dzika, uderzyć nań na nowo.

Po kilkucentymetrowej warstwie świeżego śniegu przy małym mrozie — szliśmy cichutko — słysząc co najmniej na paręset kroków każdy szelest zwierza. Tu i ówdzie przemykały w oddali sarny, zresztą dookoła wśród 130—150 letnich drzewostanów jodłowych panowała uroczysta, nastrojowa cisza.

Piesek mój wysuwał się miejscami nieco naprzód, szedł jednak bardzo ostrożnie, przestawał, słuchał i ruszał dalej, gdy się z nim zrównałem.

Tak minęliśmy starodrzewia jodłowe i weszliśmy, ciągle wolno się posuwając, w partję lasu, która po lewej stronie miała mieszane drzewostany liściaste około 70-letnie, zaś z prawej młodniki liściaste.

W tej partji uszliśmy zaledwie około 500 mtr. gdy nagle piesek mój przystanął na moment, potem rzucił się z furją w las ku lewej stronie, odskoczył w bok i cofał się ku mnie więcej burcząc, niż szczekając.

Szybko zsunąłem strzelbę z ramienia, prawy kurek otwarłem cicho, lewy wbrew mej woli szczęknął mi głośno.

Na szczęk kurka jakaś masa czarna zwaliła się na linję.

Serce uderzyło mi silniej, byłem pewny, że to duży dzik wcale mnie w mrokach nocy nie zauważywszy, atakuje psa — złożyłem się przeto i mózg mój wydał zlecenie naciśnięcia cyngla. Lecz w tym nieuchwytnym odłamku sekundy między decyzją mózgu a wykonaniem zlecenia przez rękę — stała się rzecz dziwna: oto nad ciemną masą, którą miałem za dzika, zamajaczyła jakaś szara wysoka postać, potem zlawszy się z czarnym spodem w jedną całość, odchyliła się ku ścianie leśnej.

Stało się to jednak niesłychanie szybko. Zrozumiałem, że nie mogę strzelić, ale byłem pewny, iż strzału nie zdołam powstrzymać, gdyż palec naciskał już cyngiel, gwałtownym ruchem odrzuciłem strzelbę w bok, by ewentualny strzał ominął tajemniczą postać.

Na szczęście kurek nie spadł, odrzut bowiem mógł nastąpić zapóźno.

Po tym manewrze zatrzeszczały gałęzie, wskazując, iż tajemnicza postać to nie duch leśny, ani zjawa, tylko co najmniej kilkudziesięciokilowa postać żywa.

Piesek mój pomknął kilkanaście kroków za uciekającą postacią, która wpadła w zarosły zwór leśny.

Przeczekawszy chwilę, zaświeciłem zapałkę, na śniegu widać było duże ślady butów chłopskich, wiodących od pniaka nakrytego kilkucentymetrową warstwą cienkich, świeżo ściętych gałęzi jodłowych.

Tak więc przypadek i drobny ułamek sekundy uwolnił mnie od niezbyt pożądanej zdobyczy, która jednak wedle naszych ustaw cieszy się stałą i silnie zagwarantowaną ochroną.



✝

Jan Rola Janicki

ziemianin, weteran z r. 1863, były długoletni członek M. T. Ł., zmarł dnia 2 stycznia 1931 w Podlipcach, w 93 roku życia.

Zeszła z Nim do grobu starszej naszej generacji myśliwskiej dobrze znana postać, typ myśliwego z czasów drugiej połowy ubiegłego wieku.

Od nas, cośmy w młodzieńczych latach naszych z Nim żyli i polowali, należy się Mu garść wspomnień serdecznych!

Knieje Beńkowej Wiśni, Podlisek, Krysowic, Krukienic, Lipnik, Mościsk, Miżyńca, Laszek, Małnowskiej Woli i t. d., łączyły nas ongiś często ze sobą, łączyły nas sławne błota Wańkowic i Burczyc, gdzie przez kilka dziesiątek lat, przebiegając je razem, tysiące ubijaliśmy bekasów!

Zmarły był myśliwym starego autoramentu i jako taki, hołdował pojęciom myśliwskim swego czasu, szczególnie co do obchodzenia się z bronią. Kuli nie uznawał, jako skutecznego środka do ubijania dzików; strzelał do nich z śrutówki kalibru 10-ego, wypuszczając z niej poważny nabój najgrubszego śrutu t. zw. P. P., który układał na przybitce prochowej po 7 sztuk w trzech warstwach. Rozumie się, że najgrubszy odyniec, połknąwszy na bliską metę tak poważne kwantum ołowiu, momentalnie wyciągał rapety, a wtedy dworował sobie Zmarły na swój sposób ze strzelców kulowych.

Strzelbę po polowaniu czyścić niechętnie dawał, utrzymując, że lufa wyczyszczona daje gorszy strzał, strzelał też na dalekie mety, jak mówił: przez elewację, z dodatnim często rezultatem.

Odwiedziłem staruszka na wsi po raz ostatni w jesieni zeszłego roku. „Wystaw sobie" mówił „coś mi właził w nogi, już z polowaniem będzie koniec, a szkoda, bo strzelam fenomenalnie, wprost nie chybiam". A miał On wtedy skończonych 92 lat! Przez całe życie nie znał choroby i do ostatnich dni życia zachował młodzieńczą bystrość umysłu.

Czysty jak krzyształ człowiek, najlepszy przyjaciel, zawsze pogodny, był najmilszym towarzyszem na każdem zebraniu.

Szczery żal Twych starych Towarzyszy odprowadza Ciebie do mogiły stary nasz Druhu, bo łączyłeś nas z dawnemi, szczęśliwszemi laty złotą nicią wspomnień, bo byłeś młodości naszej myśliwskiej ostatnim świadkiem!

Wiązankę kwiatów splecionych tą nicią złotą składamy na Twej mogile.

Cześć Twej pamięci, Twej duszy wieczne odpoczywanie!

A. M.

Z OSTATNIEJ CHWILI

†

Antoni hr. Wodzicki

Właściciel dóbr Niedźwiedź, długoletni członek M. T. Ł. zmarł w Łuczanowicach, w Krakowskiem, wskutek udaru serca, dnia 12 stycznia 1931 mając lat 67.

Wybitny myśliwy, dzierżył przez ćwierć wieku pióro sekretarza Towarzystwa myśl. „Lisowice". Jego protokoły z łowów zebrane w 2 grubych tomach „Kronik Myśliwskich", pisane doskonałym językiem, z werwą, humorem, nieraz też i z sarkazmem chłoszczącym słabostki, przewinienia i za gorącą nieraz krew myśliwską są poważnym przyczynkiem do historji naszego małopolskiego łowiectwa z czasów ostatnich dwóch dziesiątek lat ubiegłego stulecia, i dzięki Jego pióru weszły one do polskiej łowieckiej literatury.

W dowód uznania swej pracy, jak i w dowód wielkiej sympatji, jaką się cieszył Zmarły wśród towarzyszów, otrzymał od nich w dzień 25-lecia swego sekretarstwa symboliczne złote pióro.

Znakomity, o wielkiej etyce łowiec, obywatel powszechnie szanowany i kochany pozostawia po sobie szczery żal i miłą pamięć.

Małopolskie Towarzystwo Łowieckie wraz z Redakcją „Łowca" ślą tych kilka na prędce rzuconych w chwili oddawania numeru pod prasę, ciepłych słów ostatniego pożegnania wiernemu swemu Przyjacielowi.

Cześć Jego pamięci, pokój Jego duszy!

A. M.

KORESPONDENCJE

Moszków, w listopadzie 1930 r.

Gdy, jako jeden z ośmiu wybranych, wyruszałem dnia 8 listopada rano bryczką z przed ganku gościnnego, moskorzewskiego dworu, wiedziałem, że jadę na jedno z najlepszych kniejowych polowań na drobną zwierzynę w Polsce. Dzięki łaskawej o mnie pamięci Pani Augustowej Hrabiny Potockiej, miałem możność zeszłego roku z okazji mniejszego, bażanciego polowania, przekonać się, jaką profuzję zwierzyny kryją w sobie rewiry moskorzewskie.

W drodze na stanowisko obserwowaliśmy z moją żoną konieczne dla precyzyjnego prowadzenia leśnej ławy, gdyż ławą polować mieliśmy, obiecujące przygotowania i zabiegi w formie pod sznur wyciągniętych tyczek, numerów orjentacyjnych i licznych znaków na sosnach. Podziwialiśmy, przewidującą rękę zamiłowanego łowcy, wśród zwartych gąszczów sosnowych, w cztery luźniejsze rzędy zakulturowane pasy brzóz, znaczące ścieżki poszczególnych myśliwych i zdala, jak na ogromnym lawn-tenisie wapnem pociągnięte linje, w oko wpadające.

Dojechaliśmy. Atmosfera jak przed bitwą. Konne postacie przejeżdżają w galopie i lustrują szeregi naganiaczy, wśród których w znacznych odstępach czekają już nasi strzelcy, błyskając śrutówkami. Długa, melodyjna trąbka, powtórzona przez leśnych od końca do końca ławy i ogromna ława rusza.

Na przyleśnym łanie, którego kilkaset metrów musiałem przejść, nim cała ława nie zagłębiła się w las, przeleciało kilka dużych stad kuropatw; po chwili kroczyłem swoim brzozowym korytarzem po piaszczystych pagórkach, głównej twierdzy króliczego rodu. Błyskawiczne strzały do tych szmyrających ze wszystkich kątów przez mikroskopijne luczki, stworzeń, nie udawały mi się z początku, to też pierwszą część ławy zakończyłem tylko 13 sztukami. Czterokonne gary szybko załadowały zwierzynę i ruszamy dalej zagajnikami różnego typu, trawiastemi kuturami i przez wrzynające się gdzieniegdzie języki ozimin. Tu już króluje zając, kuropatwa i bażant. Wypierane z zagajników na piechotę ptactwo zrywa się przy brzegach, co chwila niewidzialny przez gąszcz podnosi się z łopotem ciężki bażant, ogromne płachty kuropatw wabiąc, śmigają nad naszemi głowami, zachęcając do trudnych strzałów.

Znów inna panorama myśliwska: Przed nami czernieje ściana wysokiego sosnowego boru, a białe znaki na pniach wskazują mi kierunek w głąb starodrzewia. Ta część ławy była dla mnie może największą rewelacją, gdyż nigdy nie przypuszczałem, aby wysokopienny bór sosnowy mógł do tego stopnia roić się od zajęcy. Idąc wśród kulumnady sosen, po zielonych mchach, lub w plątaninie czepiających się nóg ożyn, strzelam bez przerwy. Gorączka czynu ogarnia nas, a ogólnemu ferworowi poddaje się i straż łowiecka, w pasji na nie-

dyscyplinowanych naganiaczy, „Latas jak Salomonowe portki", słyszymy za sobą jedyną w swoim rodzaju, dziwaczną besztaninę pod adresem niesfornego chłopaka, który miast zajęcą zbierać, biega za wystrzelonemi łuskami. Gdy po półgodzinie zajechały znowuż na linję gary, wyniesiono za mną na drągach 44 zajęcy.

Po tej części ławy nagonka rozeszła się w dwie strony i rozpoczęło się pędzenie z. zw. „Kopftriebu". Tu już prawie niepodzielnie królowały bażanty, których ogoniaste sylwetki zaczęły bez ustanku przeszywać niebo nad drogą, na której stałem. Gęsta strzelanina zamienia się w przeraźliwy grzechot. Strzelcy wiją się jak w ukropie, żonglując bronią, często jednak nie mogą nadążyć z nabijaniem, a myśliwi ze strzelaniem i dużo tych paradnych ptaków przepływa zwycięsko ponad ziejącą śrutem drogą, na pożytek przyszłych pokoleń. Około 150 bażantów było rozkładem tego miotu. Do śniadania powierzchowne obliczenia wykazały 800 sztuk ubitej zwierzyny.

Popołudniu chmurny, trochę dżdżysty i prędko zapadający wieczór listopadowy szybko zmusił nas do zaprzestania polowania, choć jeszcze czekały nas doskonałe remizy. Niemniej przeto półtoragodzinna ława dała jeszcze ok. 300 sztuk.

Iście bajeczne, sześć i półgodzinne to polowanie w ośm strzelb, dało w rezultacie 1070 sztuk, w tem 620 zajęcy, 275 bażantów, 130 króli, 43 kuropatwy i 1 słonkę. Fenomenalny ten rozkład, tem znakomitszy, że osiągnięty w najszlachetniejszej drobnej zwierzynie, bezczęstej w Kieleckiem przewagi królików osiągniętej wyłącznie w kniei, gdyż zaczepiliśmy tylko mimochodem kilka maleńkich skrawków pola, dał mi dużo do myślenia, bo jest on rezultatem li tylko pieczy i zamiłowania hodowcy, w klimacie wszak nie czeskim, lecz równie srogim, jak nasz małopolski, na gruntach nie lepszych od naszych, w lasach, pod względem bogactwa paszy i podszycia niewątpliwie naszym lasom ustępujących. Nadomiar wszystkiego nie widział bażant moskorzewski w życiu swojem żadnej „Hühnerfee", żadnej indyczki, ani swojskiej kwoki, żadnych woljer, kojców, sztucznych wylęgarni, ani kurników, lecz mnoży się zupełnie dziko, podkarmiany jedynie od jesieni do wiosny.

Uczestnictwo w tak nadzwyczajnem polowaniu, za które niech mi wolno będzie na tem miejscu Pani na Moskorzewie najszczersze złożyć podziękowanie, działa zaiste zachęcająco w kierunku zwrócenia jeszcze baczniejszej uwagi na gospodarkę łowiecką we własnych, małopolskich rewirach, które, obyśmy z czasem potrafili doprowadzić do stanu, choć zdaleka przypominającego kielecki raj myśliwski.

Jan Plater Zyberk

Gnojnik, w grudniu 1930 r.

W dn. 6 zm. polowano w 8 strzelb w Gnojniku. Opolowano ¼ część pól (bez lasu). Ubito 24 zające, widziano ponad 70. Stan zajęcy i kuropatw, jak na tutejsze warunki, zadawalniający.

D. 13 grudnia polowano w Charzewicach własność pp. Maisnerów. Z powodu złej pogody część zaproszonych myśliwych nie przybyła, tak że polowano tylko w 4 strzelby ubijając 9 zajęcy. Zajęcy widziano b. niewiele, natomiast kuropatw spotykano dużo.

W dniu 18 grudnia odbyło się polowanie w Łętowicach majątku p. Jana Padły. W 13 strzelb ubito 47 zajęcy, widziano około 150. Stan zajęcy b. dobry.

Pozatem w obwodach tzw. okolicznych wiosek, dzierżawionych przeważnie przez chłopów odbywają się też polowania i to prawie codziennie. Polują oni prawie wyłącznie na „pomyka", a ole i jaką zwierzynę wybijają, tego nie sposób stwierdzić.

T. Łysakowski
delegat

W dniu 11 grudnia b. r. odbyło się polowanie w Chobrowie pow. Sokal u Państwa Kruszewskich. W pięciu kotłach w 16 strzelb padło 193 zajęcy (2 lata temu w 14 strzelb — 8 kotłów 237 zajęcy). W Chorobrowie polowało się zwykle co drugi rok i obejmowano cały teren w dwóch dniach, obecnie zajęto tylko pół terenu. Polowanie utrudniał silny wiatr przy 2⁰ ciepła na zupełnie czarnej stopie. Rezultat bardzo dobry — bo wogóle stan zwierzyny lepszy, a również w części przyczyniło się znakomicie składnie prowadzone polowanie przez Panów Kruszewskich.

Bogusław Stamirowski

Posada Olchowska, 12 grudnia 1930 r.

Po wojnie światowej stan kuropatw, prawie że był na zupełnem wyginieniu, przyczyny tego były wedle zdań braci z pod znaku św. Huberta różne, lecz nikt prawie nie odnalazł głównej winy złego.

Otóż pozwolę sobie zauważyć swoje spostrzeżenie w roku 1919 lub 1920, kiedy myszy zawojowały pola sprowadzono zatrutą pszenicę i sypano ją po polu, celem wytępienia, myszy, ale wówczas nikt nie zastanowił się, że prócz myszy, wytruje również kuropatwy, i tak faktycznie było. W roku 1919 późną jesienią wyszedłem z psem legawym na pole i na zrzętem nasiennem koniczysku znalazłem trzy kuropatwy nieżywe, sam zacząłem szukać powodu śmierci tychże, usiadłem na grobli oskubałem kuropatwę z piór, nie było żadnych śladów powierzchownych, następnie rozprułem, we wolu zauważyłem kilka ziarnek pszenicy, wól zupełnie czarny, kiszeczki i ściany żołądka spalone.

W trakcie tej sekcji nadszedł stary gospodarz niejaki Sokołowski, który również w młodszych latach interesował się polowaniem i pyta mnie co robię — dlaczego tak kuropatwę pokrajałem, na co ja pokazując mu tę kuropatwę i tę pszenicę — nie wiedząc o tem, że gmina zakupiła zatrutą pszenicę na myszy; opowiedziałem mu całą historję, że szukałem przyczyny śmierci kuropatw, które znalazłem na koniczysku.

Gospodarz pooglądał ziarna i powiada. „Oj proszę pana, to one się struły tą pszenicą". Poszliśmy na miejsce,

gdzie znalazłem te trzy kuropatwy i faktycznie odnaleźliśmy jeszcze sporą ilość pszenicy i obok koniczyska na oziminie jeszcze dwie kuropatwy. — Przechodząc dziś przez miasto, zauważyłem w oknie Spółki „Rolnik" ogłoszenie „do nabycia truta pszenica na myszy" w tej chwili przypomniała mi się historja nieszczęsnych kuropatw.

Otóż zwracam się do braci z pad znaku św. Huberta, aby łaskawie zapobiegli złemu i przedwczasem poczynili kroki u kompetentnych władz. Bo nie po to ochraniało się kuropatwy, by dziś ktoś zupełnie nieświadomie je truł.

Cześć św. Hubertowi *J. Praczyński*

Polowanie w Staromieściu

Sezon myśliwski przechodzi u nas w tym roku pod znakiem „intensywnego strzelania" i „zajęczych rekordów". Zanim prześlę dokładne sprawozdanie o polowaniach bież. sezonu i o obecnych stosunkach łowieckich w Rzeszowskim powiecie — pragnę podzielić się z Redakcją i czytelnikami „Łowca" wiadomością o ładnym rezultacie dwudniowego polowania w Staromieściu u p. Jana Jędrzejowicza znanego ziemianina i znakomitego hodowcy zwierzyny, Prezesa Powiatowej Komisji Łowieckiej i Seniora tutejszych delegatów.

Polowano w Staromieściu w kotły w dniach 15. i 16. grudnia 1930 r. w 12 strzelb i 200 nagonki. Myśliwi i nagonka podzieleni byli na cztery partje, oznaczone czterema kolorami, kierujący polowaniem dosiadał konia, a każda partja naganiaczy miała swego dowódcę. Wygodne pojazdy, zaprzężone w doskonałe konie rozwoziły myśliwych na odnośne „punkty wypadowe". Nagonka również była szybko i sprawnie rozwożoną i przerzucaną z miejsca na miejsce, a kotły rozpuszczano z czterech stron równocześnie.

Polowanie było prowadzone, jak zawsze w Staromieściu, doskonale z niespotykaną wprost punktualnością a osiągnięty rezultat jest rekordem, który w tut. powiecie pobitym byś dziś nie może, a śmiem twierdzić, że i w całej Małopolsce nie łatwo.

Pierwszego dnia polowano na polach Stobiernej i Wulki pod lasem. W czterech kotłach padło w 12 strzelb 368 zajęcy. Najlepszy kocioł między Kościołem w Stobiernej, a Nienadówką dał 149 sztuk. Drugiego dnia polowano na polach Trzebowniska za Wisłowiem między Zaczerniem a Trzebowniskiem i między lasem Zaczerskim a lasem Rudna w kierunku Jasionki. Tu w czterech kotłach ubito w 12 strzelb 1 lisa i 495 zajęcy. Najlepszy kocioł na Trzebownisku dał lisa i 187 zajęcy.

Rezultat obu dni polowania w 12 strzelb 1 lis i 863 zajęcy — przyczem uderza ładny stosunek strzelb do ubitej zwierzyny.

Rezultatem tym został pobity dotychczasowy rekord Staromieścia, który wynosił w jeden dzień 413 zajęcy przy tej samej ilości strzelb. „Królestwo" zdobył znany myśliwy Adam hr. Starzeński zabijając lisa i 120 zajęcy.

Stanisław Korwin Milewski
delegat

Przystań, 17 grudnia 1930 r.

W dniu 2 grudnia miejscowy Zarządca lasów, kontrolując kultury ponad stawkami sztucznymi (obecnie bez wody) ustrzelił słonkę. — Z końcem listopada polując na wydzierżawionym terenie gminnych gruntów w Lubelli przy 2° mrozie z 15 naganiaczami w 4 strzelby w kociałkach — w przeciągu 3-ch godzin ruszono 37 zajęcy — ustrzelonych bez pudła 12 sztuk.

W dniu 16 grudnia jadąc w 3 strzelby na zające do małego zagajnika położonego między polami, przejeżdżając przez tzw. wygon czyli pastwisko gminne w Butynach — oczom naszym przedstawił się niespotykany widok. Mianowicie: spotkaliśmy na tem czystem pastwisku — godzina 8 rano przy lekkiej mgle, z opadem drobniutkich krupek — 14 sztuk zajęcy w grupkach po 2, 3 i 4 — stojących w słupkach. — Co za przyczyna, trudno sobie wytłumaczyć — czyżby z powodu lekkiej zimy i po 2-krotnem zniknięciu śniegu ocknęły się za wcześnie zającom popędy miłosne??

W zagajniku tym mimo pełnej nadziei — utrzeliliśmy tylko 2 zające — przeto przenieśliśmy się na pola, gdzie z 13 naganiaczami w przeciągu godziny ustrzeliliśmy 8 zajęcy. A więc pociecha, że stan zajęcy w tym roku jest bardzo zadawalający.

Radzikowski
delegat Żółkiewski

Lwów, w styczniu 1931 r.

Polskie Towarzystwo myśliwych w Złoczowie polowało w dniu 31 grudnia 1930 w lesie w Żukowie. W 10 miotach przy udziale 13 strzelb, ubito 40 zajęcy i 1 lisa.

A. S.

Lwów, w styczniu 1931 r.

W dniach 2 i 3 stycznia odbyło się doroczne polowanie w Batiatyczach u Pp. Aleksandrów Paparów.

W pierwszym dniu przy udziale 15 strzelb, ubito w 7-miu kołach 135 zajęcy, a w drugim w 21 strzelb w 6-ciu miotach leśnych i 2 kołach 66 zajęcy.

Najwięcej, bo 22 zajęcy, ubił p. Antoni Papara, syn Gospodarza.

Wielka ilość zwierzyny, tudzież serdeczna gościnność Gospodarzy, pozostawiły u uczestników tych polowań niezatarte wspomnienia. *A. Sander*

Lwów, w styczniu 1931 r.

W dniu 10 stycznia ubito w Uhercach Niezabitowskich (pow. gródecki) w 14 strzelb, w 5 miotach polnych i w 4 leśnych, 62 zajęcy i 2 lisy.

A. Sander

„Jak upolowaliśmy pazur niedźwiedzi"

D. 17 bm. zaprosiwszy uprzednio pp. Rzeszotarskiego i Teodora Hulimkę, wybraliśmy się na awizowane mi telefonicznie niedźwiedzie do najbliższego terenu Wołosianki ad Sławsko. Na kilka dni przedtem poleciliśmy

podłożyć konia. Strażnicy nasi Łuciów i Konyk spisali się dobrze, pilnując niedźwiedzi przed kłusownikami, których, zdaje się, wytępiłem, o czem pisałem przed kilku tygodniami w poczytnym „Łowcu".

Pogoda cudowna, wymarzona — upał; dosłownie przypieka słoneczko, choć to już jesień późna. Na konikach i siodełkach drewnianych, (oryginalny to widok — taki korowód jeźdźców i pieszej nagonki, pnących się pod górę) dostaliśmy się wysoko w połoniny, gdzie znajduje się nasz miot niedźwiedzi. Po drodze pomodliliśmy się serdecznie, gdyż nic tak serdecznie do modlitwy nie usposabia jak cud — świątynia natury i bliskość nieba!

Czcigodny czytelnik, uśmiechnąwszy się chytrze, pomyśli sobie „aha, żegnając się z tym światem — boć to z niedźwiedziami sprawa — strach ich obleciał, więc kiedy trwoga, to do Boga" — o nie, tak to nie było, starzy to i wytrawni myśliwi, więc strachu nie znają, chyba i co najwyżej nadmiar emocji, który, jak się niżej pokaże, miał wtedy miejsce.

Miot obstawiłem tak, że nic ujść nie mogło; z prawej strony w lesie ulokowałem p. Rzeszotarskiego z lewej p. Hulimkę — sam ubezpieczyłem miot, stając na polanie między lasami. Za chwilę po odezwaniu się nagonki wali na polanę, defilując przedemną na 15 kroków lisiura. Mierzę sobie, prowadzę go pięknie i... puszczam wolno, cóż robić, strzelać nie wolno, bo niedźwiedzie w miocie.

Z medydatcji tej wyrywa mnie i elektryzuje strzał z Schönauera p. R. z prawej strony; jeszcze kilka sekund i walą koło mnie, niestety niewidoczne, bo w gąszczu dwa niedźwiedzie — trzask, łomot, emocja i po wszystkiem. Pilnuję dalej, ale już nic nie wyszło. Wymiana słów, przypuszczeń, zapytania; puszczamy się ostrożnie w ślady, psy puszczając przodem — farby ani kropelki — pudło oczywiste.

Zdaje się, że z nadmiaru emocji p. R. chybił, a taki pierwszorzędny, ba wyjątkowo dobry strzelec-myśliwy. Usprawiedliwia go emocja, gąszcze i strzał z rzutu. Ma przynajmniej tą pociechę. że strzelał do ogromnego niedźwiedzia na 25—30 metrów, na strzał do drugiego już nie było czasu.

Udekorowałem go za to pazurem niedźwiedzia, a skąd go wziąłem, opowiem.

W ogniu pytań krzyżowych strażnicy przyznali się do pewnego przekroczenia i nieuczciwości; oto koło konia-przynęty ukradkiem postawili łapki, chcąc sobie upolować lisa. Mniejszy z dwóch niedźwiedzi nadeptał na łapkę tak nieszczęśliwie, że urwał sobie biedaczysko pazur — ryknął boleśnie, następnie starszy wciągnął konia do lasu i tam go przez noc objadły kompletnie. Następnego dnia rano mieśliśmy te niedźwiedzie w miocie, cóż kiedy św. Hubert nie był dla nas łaskaw, chociaż i to spotkanie, szczególnie p. R. za szczęście poczytywać sobie winien.

Tak to upolowaliśmy tym razem „pazur niedźwiedzi".

Leon Teodor Skrzypek

Przyborowie w styczniu 1931 r.

Kamień — Nart

W dawnej puszczy Sandomierskiej, o 50 km. na północ od Rzeszowa leży przepiękny kawał lasu — benjaminek jego właściciela barona Jana Götz-Okocimskiego i słusznie cieszy się specjalnemi względami swego właściciela, w zupełności zasługując na pełną miłości opiekę jego pieczołowitej dłoni.

Znam dużo lasów w Polsce od południowo-wschodnich naszych kresów na Podolu i miłych tamtejszych zapustów grabowych, z nielicznym już dziś dębem, poprzez jary dniestrowe, aż hen ku radziwiłłowskim ostępom nad Horyniem i uroczyskom Wiadotupickiej puszczy — od lasów zachodniej Małopolski ku lasom w Poznańskiem, ale niewidziałem takiego drzewostanu, ani kniei tak w zwierzostan bogatej.

Tu stuletnie jodły i sosny walczą o lepsze z takiemiż bukami, dębami; tu chodząc po tych wspaniałych ostępach ucho mimowoli łowi rzekłbyś zew jeleni, oko szuka ostrych wzniesień, wiatrołomów, dziwi się łatwemu stąpaniu — gdyż tylko w Karpatach naszych są u nas jeszcze takie lasy.

A zwierzostan! Niech wynik łowów będzie odpowiedzią.

Polowaliśmy w dniach 19 i 20 grudnia ub. r. w siedem strzelb; padło 24 dzików, 5 łań i 4 lisy. Dzików bardzo dużo, w każdym miocie radowały oko, a radowały tembardziej, że wszędzie zdala widoczne, wszędzie wspaniałem tłem otoczone i jakby dumne z tego, nie wracały nigdzie na świetnie i cicho zupełnie idącą nagonkę — wychodziły odważnie i wiele, wiele z nich mijało szerokie i jak aleje utrzymane przeręby, nie draśnięte nawet przez zbyt nerwowo szukające ich kule.

Stan jeleni ponad 200 sztuk, pozwolono na odstrzał 30 łań, lecz wśrod dzików, nie mieliśmy czasu poprostu zajmować się niemi; w niezgrabnych swych ruchach uchodziły przeważnie bez strzału. Lisów dużo ale i te zawdzięczały dzikom w większości wypadków swe ocalenie; wszędzie wiele sarn i zajęcy.

Taką jest knieja w Kamieniu.

Wśród niej położony przemiły pałacyk myśliwski, skąd szczęśliwi uczestnicy wyruszali na te wysokie łowy prowadzone przez br. Antoniego Götz-Okocimskiego. I tak jak wysokie były łowy — tak na najwyższym poziomie stało ich prowadzenie.

Chciałbym jeszcze wspomnąć o prześlicznem polowaniu, i niewiem czy też nie jedynem w Polsce, jakie właściciel Kamienia dał nam w swej głównej rezydencji — Okocimiu na bażanty.

W dniu 26 listopada ub. r. w sześć strzelb zabiliśmy tam 800 kogutów.

Przyborowie w styczniu 1931 r.

Józef Jabłonowski

Na ołtarz św. Huberta w dalszym ciągu złożyli: Antoni Łastowiecki Zł. 10.

TREŚĆ NUMERU 2:

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85-16